

POLSKI MIESIĄC GRUDZIEŃ

Z WŁODZIMIERZEM SULEJĄ ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – O dwóch powojennych grudniach 1970 i 1981 r. – dzięki pojawianiu się kolejnych dokumentów – z pewnością można powiedzieć znacznie więcej niż kilka jeszcze lat temu. Doszły nowe kategorie źródeł, których wcześniej nie było. Warto porównać obydwie te wydarzenia. Kalendarzowo łączy je ten sam miesiąc, oprócz tego – przy wszystkich różnicach – również to, co we wszystkich powojennych „polskich miesiącach” było istotne, czyli sprawujący władzę po raz kolejny nie stanęli na wysokości zadania, jakim jest porozumiewanie się ze społeczeństwem w najtrudniejszych nawet kwestiach, użyto przeciw niemu siły.

W.S. – Ze skutkiem śmiertelnym w każdym z tych przypadków.

B.P. – Czy są nowe źródła na temat genezy i przebiegu wydarzeń Grudnia 70? Pomińmy kwestie prokuratorskie.

W.S. – W moim przekonaniu tak. Możemy mówić o istotnych kategoriach źródeł, którymi w tej chwili dysponujemy: proveniencji esbeckiej i proveniencji wojskowej, które naświetlają w większym stopniu niż dotychczas to, co dotyczy przebiegu samych wydarzeń. Pozwalają one na formułowanie precyzyjniejszych niż dotąd ustaleń, odnoszących się zwłaszcza do samego mechanizmu tego, co działo się w Grudniu 1970 r. O zewnętrznym kontekście wydarzeń w sposób pełny będzie można mówić wtedy, gdy uda się dotrzeć do źródeł przechowywanych w archiwach Rosji. Gdyby przygotowano kompleksową monografię Grudnia – z zestawienia materiału proveniencji pezetpeerowskiej z tym, co otrzymało wojsko, milicja, Służba Bezpieczeństwa – to przypuszczam, że powstałby obraz bardzo daleko odbiegający od wszystkich ustaleń, które po roku 1989 zostały na ten temat poczynione. Niemniej jednak w tej warstwie podstawowej można byłoby już próbować budować coś w rodzaju syntezy samego protestu i nie byłoby to działanie, które zakończyłoby się niepowodzeniem. Trzeba oczywiście pamiętać też o tym, że powstało sporo wszelkiego rodzaju przyczynarskich opracowań, pokazujących Grudzień w wymiarze lokalnym – wszędzie tam, gdzie nie miał on równie dramatycznego przebiegu jak na Wybrzeżu. Jak w każdym z tych polskich miesięcy wydarzenia z Wybrzeża przeniosły się na cały kraj. Było to przeżycie zbiorowe, dotyczące całej Polski i to jest swoista wartość, która pokazuje promieniowanie tego protestu na całą tkankę społeczną.

B.P. – Co wynika z tych ostatnio znalezionych materiałów partyjnych i wojskowych?

W.S. – Po pierwsze – bardzo dramatycznie rysuje się w nich kryzys systemu. Dotyczy to nie tylko Grudnia 70 czy Czerwca 76 (odwołując się do ostatniej monografii na ten temat). Momenty przesilenia ujawniały permanentny kryzys systemu, który był wpisany w mechanizm funkcjonowania państwa socjalistycznego i relacje między społeczeństwem a władzą. Te dokumenty pokazują to w sposób bardzo wyraźny.

Władza nie miała wtedy jeszcze opcji koncyliacyjnej. Tkwiła w oczekiwaniu, że może dojść do wybuchu, ale była również zaskoczona skalą tego protestu. Dostosowywała środ-

ki do tego, co się działo, nie mając specjalnych hamulców przed używaniem siły. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Sposób rozwiązywania społecznych napięć, gdy przekraczały one – z punktu widzenia władzy – jakiś punkt krytyczny, sprowadzał się tylko do tego, ile i w jaki sposób rzucać obrońców systemu (przede wszystkim milicję i Służbę Bezpieczeństwa, a w sytuacjach znacznie groźniejszych dla samej władzy – wojsko) przeciwko tym, którzy kontestują system.

B.P. – Pewność siebie władzy wynikała z dysponowania siłą. To na niej opierała się ta władza, a nie na żadnym innym argumencie ani żadnej innej wartości. Poza tym władza musiała mieć przekonanie, że na zewnątrz jest poparcie dla tego rodzaju rozwiązań.

W.S. – Polska była traktowana jako stabilny element pewnego układu, opartego na rozstrzygnięciach jałtańsko-poczdamskich. Nikt spoza tego układu nie miał zamiaru się wtrącać. Tę zasadę dobrze ilustrują wydarzenia na Węgrzech w 1956 r. Właśnie od tamtego momentu utwierdziło się przekonanie, że na obszarze dominacji Związku Sowieckiego nikt nie będzie próbował ingerować w taki sposób, by cokolwiek realnie zmienić. Mówiło o tym doświadczenie węgierskie, później czechosłowackie z roku 1968. Wydaje się, że ta wiedza była również udziałem osób po przeciwnej stronie barykady, myślących kategoriami znacznie szerszymi. Jesteśmy zdani na siebie, protest społeczny nie doprowadzi do wyjścia poza obręb Układu Warszawskiego czy „wspólnoty” krajów socjalistycznych. To było wpisane w rozumowanie zarówno kogoś, kto analizował sytuację intelektualnie, jak i tego, kto szedł w pochodzie i sięgał po kamień. Nie zmienia to faktu, że w takim krytycznym momencie protest i sięgnięcie po kamień uznawano za coś koniecznego. Za coś, co jest zdeterminowane sytuacją, w której się znajdujemy.

B.P. – Czy Grudzień 1970 r. miał jakiś rezonans, choćby minimalny, poza Polską, gdzieś na terenie obozu?

W.S. – Rezonans wiąże się z możliwością przepływu informacji. Wszędzie tam, gdzie ta informacja była w stanie dotrzeć, budziła zainteresowanie. Nie potrafię ocenić ani skali przepływu tych informacji, ani zasięgu zainteresowania, ponieważ na ten temat nie były prowadzone badania. Można zakładać, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że tam, gdzie o ową informację było łatwiej, wiedziano więcej. Jeżeli część mieszkańców NRD odbierała zachodnie audycje radiowe i telewizyjne – a odbierała przecież – to oni byli poinformowani, co niekoniecznie musiało się przekładać na wszczęcie jakichkolwiek działań. Przejście od poziomu zdobycia informacji do poziomu zrobienia czegoś z tą informacją, nawet jej rozpowszechnienia, to już kwestia następną. Przy tamtym systemie inwigilacji ryzyko było wielkie. Wiedzieli o tym Węgrzy, znamy to ze wspomnień. To była wiedza społeczna. Na pewno informacja o tym docierała do Czechosłowacji.

B.P. – W tamtych latach, kiedy społeczeństwa były „nieinformatyczne” w sensie narzędzi, ciągami informacyjnymi były linie kolejowe, kolejarze, no i pasażerowie.

W.S. – Łatwiej to pokazać w odniesieniu do roku 1968 niż do Grudnia 70. Proszę pamiętać o tym, że stopień poinformowania społeczeństwa polskiego wcale nie był taki szeroki

jak w roku 1980, a nawet wtedy, gdy wybuchł lubelski strajk kolejarzy, nie wszyscy o tym wiedzieli.

B.P. – Wracając do roku 1970 – jak ta rozchodząca się po Polsce fala dotarła na Dolny Śląsk i co się tutaj działo?

W.S. – Docierała różnymi kanałami – był przekaz prywatny, dość ograniczony, przekaz oficjalny, z którego jednak trudno było zorientować się w sytuacji, no i był przekaz kanałami wewnętrznymi, partyjnymi. Poza informowaniem odpowiednich służb, jak wynika z dokumentów, dość szczegółowym, mobilizowano członków PZPR do tego, żeby monitorować sytuację. Stopień poinformowania tych ludzi był nieco większy. Społeczeństwo jest systemem naczyń połączonych, więc te informacje się rozchodziły. W tym czasie odnotowano jedną akcję ulotkową. Pojawiły się, jak to zwykle bywało przy tego rodzaju okazjach, rozmaite napisy, plotki, przede wszystkim o liczbie ofiar. Grudzień miał swoją bardzo określoną dynamikę – gwałtowny wybuch, a potem zmiana centralnych władz. To więc, co wzbudzało emocje społeczne, dość szybko wygasło, albo inaczej, zostały one skierowane w inną stronę – co się dzieje na szczytach władzy i jakie będą konsekwencje zmiany, do której wtedy doszło. To był dopiero początek rozbudzania się społeczeństwa.

B.P. – Rok 1970, przynajmniej w skali mojego życia, był o tyle przełomem, że wtedy po raz pierwszy zrealizowano pewien symboliczny pomysł, tzn. palenie komitetów. To weszło do piosenek, stało się powiedzeniem obiegowym, ale za tym idzie pewna konsekwencja. Władza przelała naszą krew, ale jej komitety są do spalenia.

W.S. – Władza poczuła się wtedy zagrożona, również fizycznie. Odstęp między rokiem 1956 a 1970 jest odstępem niemalże pokolenia, ludzie nabyli innego rodzaju doświadczeń. Zagrożenie fizyczne, które się wtedy pojawiło, wpływało na tok rozumowania i postępowania tych, którzy na szczeblu lokalnym odpowiadali za kształt polityki sterowanej przeciw centralnie. Trudno mi powiedzieć, jak wyglądała sprawa w innych większych ośrodkach, zwłaszcza akademickich, ale we Wrocławiu podejście do tego, co działo się na Wybrzeżu, było dość ambiwalentne. To było odreagowanie tego, że zabrakło realnego poparcia robotników dla protestujących w 1968 r. Takie – a co nas to właściwie obchodzi? Wyostrzam to stanowisko, ale spotkałem się z tego typu głosami wówczas i doskonale to pamiętam. Brak jakiegoś szczególnego zaangażowania inteligencji może nie być szczególnie istotny, ale psychologicznie na swój sposób interesujący.

B.P. – Grudzień 70 w gruncie rzeczy otworzył kolejny etap stosunków społeczeństwo–władza. Po 1956 r. kolejny raz zawrzało w wielkich zakładach przemysłowych, tym razem rzecz dotyczyła społeczności stoczni, zupełnie innej niż ta z lat 50. To było nowe pokolenie robotnicze.

W.S. – Jeżeli patrzymy na mechanizm kryzysów, to Grudzień jest istotnie cezurą. Wydarzenia roku 1956 rozpoczęła w Poznaniu załoga Cegielskiego, stamtąd poszedł impuls, który przerodził się w manifestację społeczności całego miasta. Poza zlokalizowanym protestem jego konsekwencją były wydarzenia jesieni, bo to był tak silny napór nie tylko tej załogi, ale całego miasta, młodzieży. Rok 1970 pokazał, że z punktu widzenia stabilności tej władzy



Centrum Gdańska 15 grudnia 1970 r. Płonie gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Część funkcjonariuszy i urzędników partyjnych znalazła schronienie w pobliskim kościele św. Elżbiety...

bardzo ważne są właśnie wielkie zakłady przemysłowe, te w których są wielotysięczne załogi. I to załogi, w których prym wiodą robotnicy ukształtowani już nie w okresie międzywojennym, ale młodzi robotnicy i młoda kadra techniczna ukształtowana w tym systemie. Oni są w stanie nie tylko wyartykułować sprzeciw, ale w bardzo radykalnej formie przenieść go na ulicę. Stąd te komitety, które zaczęły w 1970 roku płonąć. Ta nauuczka spowodowała bardzo szybkie i drastyczne wycofywanie się z pomysłów podwyżkowych w roku 1976 i na pewno określała kształt rozmów ze strajkującymi w roku 1980. Międzyzakładowe Komitety Strajkowe tworzą większą, rozrastającą się strukturę. Dlatego też w 1981 r. operacja tłumienia ruchu społecznego musiała już być operacją wojskową, przy zaangażowaniu wszystkich dostępnych sił. Byłoby jeszcze lepiej z punktu widzenia tej władzy, gdyby nadeszła pomoc zewnętrzna, której ta władza, z powodów, o których możemy dyskutować, nie otrzymała.

B.P. – Dla ludzi obdarzonych temperamentem działaczy społecznych, którzy uczestniczyli w tych wydarzeniach, sposób, w jaki konflikt został „rozwiązany” przez władze w 1970 r., ujawnił konieczność niezależnego kształtowania postaw społecznych i organizowania się w struktury. Mówię tu o tym, że idea wolnych związków zawodowych ma swoje korzenie w Grudniu 1970 r.

W.S. – Na czym polegał problem? Oczywiście można go sprowadzić do hasła „Nie palić komitetów, tylko je zakładać”, co znalazło się nawet w filmie Wajdy, a za nim w obiegu społecznym. Ale proszę zwrócić uwagę, że zmiana ekipy – typowy zabieg socjotechniczny stosowany nie tylko zresztą u nas – dała władzy pewien czas na odrabianie strat, na odbudowę swojej pozycji. Rzeczywiście, wszystkie te poczynania animatorskie dotyczące tworzenia grup, które mogłyby coś zrobić, nie są wyłącznie konsekwencją Czerwca 1976 r., one pojawiają się wcześniej. Tu przełomem jest rok 1975 i rozczarowanie – może nawet nie tyle obietnicami Gierka – ile jego praktyką. Na początku dekady mogło się wydawać, że wszystko idzie w dobrym kierunku, że sfera przestrzeni publicznej, w której będzie można w miarę swobodnie się zachowywać, znacznie się poszerzyła. A potem nastąpił odwrót. Dla mnie miernikiem nastrojów są dowcipy polityczne. Zapisywałem je konsekwentnie przez całą dekadę lat siedemdziesiątych. Pierwszy antygierkowski dowcip pojawił się stosunkowo szybko, w 1973 roku, bardzo jeszcze łagodny. To było pytanie: czy jest podobieństwo między Gierkiem a fryzjerem? Owszem, tak, bo najpierw mydlił, a teraz będzie golił. Ten dowcip powstał w okresie, kiedy mogło się wydawać, że Gierek jeszcze był na linii wschodzącej. Czyli już w 1973 r. pojawiły się pierwsze wyraźne symptomy tego, że działania władzy, zawieszenie takiej jej pierwotnej większej otwartości, są odbierane jako wstęp do recydywy, do tego, co było wcześniej. Gdy w 1975 r., kiedy nastąpiły zmiany – z punktu widzenia stanu faktycznego mało istotne, bo werbalizujące coś, co i tak było oczywiste – czyli wpisanie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i przewodniej roli partii do Konstytucji, to uznano, że trzeba próbować rozgrywać to inaczej. Właśnie choćby poprzez tworzenie owych grup, które będą publicznie się sprzeciwiać. To wtedy rozpoczęła się era listów adresowanych do władz, które publicznie się podpisywało. Ta aktywność dotyczyła co prawda wąskich środowisk, ale to była istotna zmiana w relacjach między społeczeństwem a władzą. Zdecydowane przyspieszenie i zmiana jakościowa nastąpiły w Czerwcu 1976 r. Można mówić już o eskalacji takich działań, które zmierzały do wytworzenia szerokiego frontu sprzeciwu.

B.P. – Dlaczego na te zmiany w Konstytucji zdecydowano się dopiero w 1975 r.?

W.S. – Racjonalnie nie potrafię tego wytłumaczyć, bo przecież musieli zdawać sobie sprawę, że nie będzie to – z propagandowego punktu widzenia – dobrze przyjęte. Nie wiem, czy nie były to efekty Helsinek, tego nieszczęsnego (z punktu widzenia władzy) trzeciego koszyka. Zmiany w Konstytucji mogły stanowić próbę wyjścia czy blokowania rozwiązania prawnymi nacisków na poszerzenie sfery wolności. Z punktu widzenia władzy Gierka racjonalna była natomiast decyzja o nowym podziale administracyjnym Polski. Natomiast wpisywanie przewodniej roli partii i obowiązkowej przyjaźni z sąsiadami jako decyzji konstytucyjnej – to mogło tylko rozjuszyć społeczeństwo.

B.P. – Jak szybko zaczęły się przygotowania władzy do przerywania karnawału pierwszej „Solidarności”?

W.S. – Dziś wiemy doskonale, że rozważano rozwiązanie siłowe w trakcie trwania strajków, nie tylko gdańskich. W dostępnych materiałach partyjnych i SB widać takie zabiegi nie tylko na Wybrzeżu, również we Wrocławiu. Nie było wiadomo, w którą stronę się to potoczy. Rozważano różne warianty, pod tym kątem prowadzono analizę wydarzeń. Gdy ostatecznie decyzją polityczną przesądzono, że będą podpisywane porozumienia, zwolennicy rozwiązań siłowych musieli uznać to za błąd. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w tych resortach, które są odpowiedzialne za „ład i bezpieczeństwo”, łącznie z resortem wojskowym, musiano taki wariant brać pod uwagę – jako wariant alternatywny, którego celem byłoby przywrócenie stanu sprzed Sierpnia. Liczono też na opanowanie ruchu od wewnątrz. Na skierowanie go na dogodny dla władzy tor, wchłonięcie, podobnie jak to było z konferencjami samorządów robotniczych po 1956 r. Myślę, że tych wariantów było wiele. Przekonanie, że tego nie da się opanować, prowadziło do takiego rozumowania, które zakładało rozwiązanie sprawy w inny sposób – zduszenie „Solidarności” siłą.

B.P. – W strukturze partyjnej nastąpiło pęknięcie.

W.S. – Nawet nie pęknięcie, to było znacznie bardziej dramatyczne. Proszę pamiętać, że olbrzymia grupa członków PZPR weszła do „Solidarności”.

B.P. – I odeszła do tych swoich struktur poziomych.

W.S. – To jeszcze inna sprawa. To trzeba rozdzielić przede wszystkim dlatego, że to rozgrywało się na różnych poziomach. Po pierwsze do „Solidarności” weszła olbrzymia grupa członków PZPR, i na dodatek weszła bez zadań. To było wejście do autentycznego ruchu związkowego i, co więcej, to było utożsamienie się z nowym ruchem. Klasycznym przykładem jest Bogdan Lis, który konsekwentnie realizował linię związkową. Druga rzecz to próba zmiany oblicza samej PZPR, właśnie przez struktury poziome.

B.P. – To była oddolna inicjatywa?

W.S. – Nie tylko. W pojawieniu się tych struktur można dopatrywać się idei „Solidarności”. Uaktywnili się w partii ludzie, którzy przez kontakty na poziomie podstawowym chcieli

dokonać zmian na samej górze. To nie wyszło – okazało się w kampanii przedzjazdowej, że pomysł nie ma najmniejszych szans. Ale był to też czynnik hamujący tych, którzy określali linię polityczną PZPR i kraju. To jest sprawa pierwsza. Po drugie obecność w „Solidarności” i jednoznaczne zachowania zdecydowanej większości członków PZPR – w moim przekonaniu – były jednym z istotnych hamulców, który zadziałał w kryzysie bydgoskim. W Bydgoszczy podjęto próbę wywołania takiego kryzysu, który mógłby się zakończyć ewentualnym rozwiązaniem siłowym. Jestem o tym głęboko przekonany.

B.P. – Obawiano się „dołów partyjnych”?

W.S. – Również. Nie mówię, że był to czynnik decydujący. Ale był to czynnik, który musiał być brany pod uwagę. We wrocławskich rezolucjach kierowanych przez podstawowe, ba, nawet oddziałowe organizacje partyjne protestujące przeciwko temu, co działo się w Bydgoszczy, były treści całkowicie zbieżne z uchwałami komisji zakładowych „Solidarności”. Potem następowała polaryzacja, zwłaszcza po kolejnym zjeździe, zdyscyplinowanie terenu, wyrzucanie z partii tych, którzy ów oddolny ruch organizowali. Jednoznaczne w swej wymowie przemówienie Olszowskiego z września 1981 r. spowodowało podział i konieczność dokonania wyboru. Albo tu, albo tu. Wtedy już nie było możliwości funkcjonowania w dwóch strukturach. Największy kryzys w szeregach partii nastąpił jednak po wprowadzeniu stanu wojennego. Kryzys dotyczył zaufania do kierownictwa, zaufania do idei, bo motywy były bardzo różne, to był chyba najbardziej dramatyczny tego typu kryzys w czasie istnienia PZPR. Organizacje, z własnej woli, a nie na zasadzie czystki odgórnej, zmniejszyły się w sposób zatrważający. Były takie organizacje, które najwyczejniej w świecie zniknęły. To było coś, co w całym okresie PRL nigdy nie wystąpiło w takim natężeniu.

B.P. – Czy w dynamice zmiennej liczebności członków partii rok 1970 był istotny?

W.S. – Nie. Po Grudniu 70 zjawisko składania legitymacji partyjnych miało miejsce, ale było nieznaczne i trwało krótko. Potem nastąpił, jak wszędzie, dynamiczny wzrost.

B.P. – Czy w okresie pierwszej „Solidarności” i stanu wojennego sytuacja na Dolnym Śląsku miała jakąś swoją specyfikę?

W.S. – Po pierwsze trzeba powiedzieć, że głębokość społecznego oporu w stanie wojennym wynikała ze szczególnych cech związku między Sierpniem a Grudniem i była konsekwencją zmian o charakterze społecznym, które następowały tutaj przed rokiem 1980. Wyróżnikiem Dolnego Śląska był czynnik demograficzny, to było młode społeczeństwo. W ruchu „solidarnościowym” w ogóle dominowali ludzie młodzi, około trzydziestki – to oni byli kadrą kierowniczą i grupą najbardziej aktywną. A tu było ich bardzo wielu i to był ogromny potencjał.

Po drugie tu było bardzo głębokie utożsamienie się z ruchem środowisk inteligenckich, które, w przeciwieństwie np. do stolicy, były jednolite w swoich sympatiach i zachowaniach. Tu nie było rozważań – czy linia związku ma być taka, czy inna, czy w tę stronę idziemy, czy w tę, kogo należy popierać, czy należy liczyć na zmianę w samej władzy. W zdecydowanej większości sympatie skierowane były na „Solidarność” i dominowało poczucie, że w nią należy włożyć wszystkie swoje umiejętności i zdolności. To przeniosło się na czas

stanu wojennego – poczucie autentycznej, społecznej służby, co przy partnerskich układach w obrębie ruchu bardzo go dynamizowało. Towarzyszyło temu przekonanie, że zmiana jest rzeczywiście możliwa i należy ją, również intelektualnie, przygotowywać.

B.P. – Te tereny były nasycone wojskami sowieckimi, czy sprzeciw miał wobec tego odcień niepodległościowy?

W.S. – Na pewno ten kontekst obecności Armii Czerwonej trzeba byłoby uwzględnić. Zwłaszcza w tych okolicach, gdzie ich miało się na co dzień, głównie w legnickim. To wiąże się z genezą części tej społeczności i jej kresowym rodowodem. Przeniesienie pewnych wartości i doświadczeń kresowych na grunt dolnośląski przekładało się na mniejszą skalę złudzeń – nie tylko co do systemu, ale i tego, co ten system ze sobą niósł. Było tu również nietypowe w skali kraju, jednoznaczne stanowisko Kościoła – parafialnego i hierarchicznego. Tu nie było różnicy. Można mówić o ostrożniejszych zachowaniach hierarchii, ale jak się postucha kazań biskupa Dyczkowskiego, to one w znaczący sposób nie odbiegały od kazań ks. Drzewieckiego.

B.P. – Wspieranie „Solidarności” przez Kościół ma dwa wymiary. Jeden – akceptowanie postawy społecznego oporu, nie takie znów powszechne i nie takie łatwe. Drugi – w stanie wojenny Kościół rozpostarł parasol ochronny nad tym ruchem.

W.S. – Tutaj ten parasol był duży i solidny, choć nie twierdzą, że to był parasol nad działalnością konspiracyjną. Ale była świadomość, że w razie czego rodzina, najbliżsi nie pozostaną bez opieki. Bardzo pręźnie działał Arcybiskupi Komitet Charytatywny. Również w razie procesu można było liczyć na pomoc. Dopiero niedawno dowiedziałem się, jak wielka to była skala.

B.P. – Taka postawa musiała prowadzić do odpowiednich represji ze strony władzy wymierzonych w Kościół.

W.S. – Niektórzy księża byli wyjątkowo brutalnie represjonowani. Były podejmowane próby zabójstw skierowane przeciwko kardynałowi i poszczególnym księżom. Księża czuli fizyczne zagrożenie nie tylko we Wrocławiu, również np. w Wałbrzychu. Kardynałowi Gulbinowiczowi spalono samochód. Zrobili to funkcjonariusze z departamentu Piotrowskiego. Oczywiście nie każdy ksiądz poczuwał się do obowiązku politycznego zaangażowania. Natomiast każdy się poczuwał – tu bez wątplenia istotną była postawa kardynała – do tego, żeby nieść realną, materialną pomoc potrzebującym. Co do tego nie było dyskusji.

B.P. – Czy jacyś księża wyróżniali się jako kaznodzieje, duszpasterze, do których ludzie ciągnęli?

W.S. – Można mówić o całej grupie księży wygłaszających bardzo mądre i jednocześnie dwuznaczne kazania. Najbardziej znanym kaznodzieją był wspomniany przez mnie ks. Mirosław Drzewiecki. Jego kazania z tamtego okresu jeszcze dzisiaj wywołują emocje. Nie był to jedyny kaznodzieja, który świetnie mówił. W Wałbrzychu był ksiądz Julian Żrałko czy ksiądz Bogusław Wermiński. Treści, które przekazywali wiernym, nakładały się i wzmacniały nastroje społeczne. I paradoksalnie, choć czas był wyjątkowo trudny, panował nastrój optymizmu

i głębokiego przekonania, że to się musi skończyć dobrze, że to jest ostatni odpór uruchomiony przez władze. Głębokie załamanie przyszło w 1984 r., nastąpił okres zniechęcenia i przeświadczenia, że właściwie wszystko jest niemalże stracone. Ale ten okres początkowy, zdawać by się mogło, najtrudniejszy, owocował właśnie dużą liczbą różnego rodzaju inicjatyw konspiracyjnych. Mówię tutaj przede wszystkim o tworzeniu bardzo szerokiej struktury oporu społecznego, utrzymaniu sieci Komisji Zakładowych, stworzeniu realnie działającej sieci samopomocowej dla internowanych i ich rodzin. Kontynuowanie oporu przez pracę wydawniczą, akcje ulotkowe, potwierdzanie, że „Solidarność” istnieje, dodawało ludziom otuchy, a osoby zaangażowane w solidarnościową konspirację nie były osamotnione.

B.P. – Kim byli konspiracyjni przywódcy?

W.S. – Osoby, które kierowały RKS, przede wszystkim Władysław Frasyniuk oraz Piotr Bednarz i Józef Pinior. Była to trójka, która do wiosny 1983 r. symbolizowała opór. Specyfiką wrocławską było pojawienie się „Solidarności Walczącej”, struktury radykalnej, nastawionej nie tylko na przetrwanie. O ile grupa, którą symbolizuje Frasyniuk, wychodziła z założenia, że konieczny jest przynajmniej powrót do status quo, czyli odtworzenie związku, wypuszczenie ludzi, umożliwienie działalności, o tyle Kornel Morawiecki szedł znacznie dalej. Uważał, że należy po prostu obalić ten system, że tu nie ma kompromisu. Niemożliwa jest koegzystencja. To powodowało, że tutejsze demonstracje, szczególnie latem 1982 r., miały bardzo gwałtowny charakter, a 31 sierpnia 1983 r. w czasie masowych wystąpień w Lubinie zginęło kilka osób.

Jeżeli ruch społeczny, jakim była „Solidarność”, obejmował praktycznie całą Polskę, 10 mln ludzi, to w momencie wprowadzenia stanu wojennego opór przeciwko temu, co się wydarzyło, nie mógł być oporem na podobnym poziomie. Siłą rzeczy, z różnych powodów, ten opór miał charakter wyspowy. Te wyspy przede wszystkim związane były z dużymi ośrodkami. Działania konspiracyjne, najczęściej polegające na przełamywaniu bariery informacyjnej, czyli drukowaniu czegoś, pojawiały się niekiedy w bardzo małych ośrodkach, czasami na wsi. Jednak skala oporu przeciwko władzy w stanie wojennym nie da się porównać z niczym we wcześniejszym okresie peerelu – bo opór społeczny w latach czterdziestych, kiedy toczyła się walka o władzę, miał zupełnie inny charakter i przebieg – ale musiały być ośrodki wiodące, które wyłoniły się w sposób naturalny. A ponieważ intensywność działań we Wrocławiu była znaczna, intensywność działań przeciwko „Solidarności” i działania represyjne były odpowiednio silne.

B.P. – Jak głęboko środowisko „Solidarności” było infiltrowane?

W.S. – Obawiam się, że bardzo głęboko, choć następowało to stopniowo, to był cały proces. Logistyczne wychwycenie całego olbrzymiego ruchu jest rzeczą fizycznie niemożliwą i to prawdopodobnie spowodowało zapchanie się możliwości przerobowych SB zaraz po roku 1980.

B.P. – Nie sposób monitorować cały kraj i wszystkie środowiska.

W.S. – I ich intensywnych zachowań. Pojedyncze osoby można łatwo złapać, ale to wszystko zaczęło się dziać na ogromną skalę. Oczywiście, w stanie wojennym w sposób naturalny

zmniejszyła się ogólna aktywność społeczna, niemniej zaabsorbowany był cały resort. Proces odpływu ludzi zaangażowanych w konspirację w połowie lat osiemdziesiątych miał kilka przyczyn – zwyczajne zmęczenie, aresztowania, zastraszanie, emigracja. Resort miał coraz lepszy wgląd w tę sytuację konspiracyjną. Przytoczę tu własny przykład, w tym przypadku mogę operować konkretem. Żyłem przez długi czas w głębokim przekonaniu, że moja podziemna przygoda była niezauważalna dla SB praktycznie niemal przez cały czas. Teczki, które leżą za panią, wyprowadziły mnie z tego mniemania. Byłem monitorowany bardzo dokładnie od połowy 1982 r., mogłem w każdej chwili powędrować do więzienia, mieć proces, chociażby o szpiegostwo. Nie wiem, jak bym się zachował, gdybym miał tę wiedzę, którą mam dzisiaj, czy bym był podobnie „odważny”. A tak myślałem sobie – nie radzę sobie durnie, nie potrafią być sprawni i skuteczni.

B.P. – Barbara Niemiec z Krakowa usłyszała na jakimś przesłuchaniu – niech pani sobie nie myśli, że zrobimy z pani bohaterkę.

W.S. – Ujawniali się w chwili rzeczywistego, odczuwanego przez nich zagrożenia działalnością konspiracyjną i po to, by doraźnie zastraszyć konkretną osobę. Większe akcje łączyły się z nagłośnieniem medialnym, więc raczej prowadzono dyscyplinujące rozmowy ostrzegawcze. Nie ulega wątpliwości, że mieli przemyślaną strategię. Widać to bardzo wyraźnie, to były rozmowy dyscyplinujące, ostrzegawcze. Także oni mieli przemyślaną strategię, jak to robić, ale nie do końca byli w stanie wszystko ogarnąć. Z jednej strony świadczą o tym przykłady ludzi, którzy w stanie wojennym ukrywali się przez długi czas. A gdy im rzeczywiście na kimś zależało – widać to po dochodzeniu do kolejnych szefów RKS – robili to dość sprawnie i stosunkowo szybko.

B.P. – Środowisko studenckie było jednym z bardziej radykalnych. Pewnie podobnie było we Wrocławiu.

W.S. – Strajki studenckie wybuchały zawsze wtedy, kiedy ogłaszano strajki ogólnopolskie. Jesienią 1980 r. związane były z pojawieniem się NZZ i problemami z jego rejestracją, potem była akcja protestacyjna na jesieni 1981 r., w którą zaangażowały się wszystkie uczelnie. Studenci stanowili bardzo istotny element w obrębie logistyki konspiracyjnej, choć czasami wykazywali się zupełnie tragicznym brakiem wyobraźni. Jedna z grup studenckich, zajmująca się drukowaniem, związała się z osobami, które bardzo szybko doprowadziły do wpadki. Niestety polegają na tym, że jedna z sympatycznych dziewczyn nosiła przy sobie pamiętniczek ze szczegółowym opisem wszystkich podziemnych poczynąń. I z adresami. Taka konspiracja też była.

B.P. – Z Wrocławia pochodzi jedna z najbarwniejszych postaci tamtych czasów, „Major” Fydrych.

W.S. – „Pomarańczowa Alternatywa”, tak się złożyło, powstała w moim gabinecie, który im udostępniłem – Szewska 49, pokój 312. Oni tam drukowali te swoje pierwsze rzeczy, w 1981 r. Notabene patrzyłem wtedy na nich jak na zupełnie pokręconych.

B.P. – Ale nie sądzi pan, że w tym szaleństwie była jakaś metoda?

W.S. – Mówimy o różnych rzeczach. W 1981 r. traktowaliśmy to wszystko, co się w Polsce dzieje, bardzo poważnie. Na ich gazetkę patrzyłem z takiej perspektywy.

B.P. – Ale w stanie wojennym to już była metoda.

W.S. – Jeszcze nie. „Major” początkowo malował krasnoludki, a stan wojenny był na serio, to była walka. Obszmiewanie zaczęło się w 1986 r., kiedy władza już poluzowała, po dużej amnestii. Władza dała milczące przyzwolenie na odtwarzanie półlegalnych Komisji Zakładowych.

B.P. – Można powiedzieć, że Fydrych ze swoimi ludźmi stanowili swoistą kontrkulturę w obrębie „Solidarności”.

W.S. – Dokładnie tak. Zresztą to była kontrkultura, bo oni również angażowali się w działania konspiracyjne. Fydrych czasami dziś opowiada różne zabawne anegdotki, które pamięta z tamtego czasu – nie ma co ukrywać, elementy surrealistyczne występowały również w konspiracji. Ale, bez wątpienia, jest to do dzisiaj barwna postać.

B.P. – Wreszcie postawiono zarzuty autorom stanu wojennego, to bardzo istotne. Co jeszcze jest do zrobienia?

W.S. – Po pierwsze – przeprowadzenie gruntownej analizy zagadnienia, czy była to własna inicjatywa Jaruzelskiego, czy był to wynik nacisków zewnętrznych. To jest pytanie bardzo istotne, również z procesowego punktu widzenia. Sprawa druga, nad którą nie można przejść do porządku dziennego – ocena strat wynikłych z wprowadzenia stanu wojennego. Strat wielorakich – na poziomie gospodarczym, społecznym, zapóźnienia kulturowego. To wymaga niezbędnych dzisiaj badań komparatystycznych – ile kosztował państwo stan wojenny? Kolejna kwestia to potrzeba podjęcia badania procesów społecznych, które wtedy stan wojenny uruchomił. To nie jest tak, że to się wszystko toczyło jak poprzednio. Nastąpił bardzo wyraźny zwrot, również w społecznej świadomości. I jeszcze sprawa badań dotyczących pomocy zewnętrznej i zewnętrznych reakcji.



Włodzimierz Suleja – prof. zw. dr hab. nauk historycznych, W latach 1972–1995 pracownik IH Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1995 r. pracował w IH WSP w Zielonej Górze. Ważniejsze prace: *»Solidarność« na Dolnym Śląsku* (1986 jako Stanisław Stefański), *Józef Piłsudski* (1995), Wrocław. *Dziedzictwo wieków* (współautor, 1997), *Tymczasowa Rada Stanu* (1999). Opublikował ponad 200 artykułów i studiów. Dyrektor Oddziału IPN we Wrocławiu